Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

5

72

Rok XVI (XXX)

NASZYM ZDANIEM

Wszystko z wyjątkiem

W jednej z książek, bodajże Marshalla, można było przeczytać zdanie, że ewangelik gotowy jest wszystko uczynić dla swego Kościoła z wyjątkiem pójścia do kościoła. Może ktoś poczuje się tą opinią dotknięty, zwłaszcza powtórzoną na tym miejscu. Cóż jednak począć, skoro kryje się w niej ziarno prawdy?

Rzeczywiście, wielu ewangelików dość rzadko zagląda do swego kościoła, są tacy, którzy rezerwują sobie na to czas tylko w Wielki Piątek, skąd poszło powiedzenie o wielkopiątkowych ewangelikach. Swoją drogą zjawisko to jest dość interesujące. Znamy niektóre osoby, skądinąd bardzo Kościołowi oddane i przywiązane do ewangelickiej tradycji, gotowe służyć swoim czasem i doświadczeniem w różnych kościelnych organach, ale których miejsce w ławce kościelnej świeci zwykle pustką. Gdyby im powiedzieć, że los Kościoła jest im obojętny, srodze by się oburzyli. Jak to jest możliwe, żeby człowiek uważający się za wierzącego chrześcijanina, przywiązany do Kościoła, nawet biorący udział w jego zarządzie, był zdolny wyobrazić sobie niedzielę bez swego udziału w nabożeństwie?

Podstawową przyczyną, utrudniającą zborowi gromadzenie się na niedzielnych, a zwłaszcza na tygodniowych nabożeństwach w kościele, jest wielkie rozproszenie na dużej przestrzeni, co dotyczy nie tylko dużych miast. Niektóre parafie obejmują swoim zasięgiem po kilka powiatów. Nierzadko, aby dotrzeć na czas do kościoła, trzeba wstać w niedzielę — po całym tygodniu ciężkiej pracy — o świcie i wracać do domu na mocno spóźniony obiad. Mimo to wielu podejmuje ten trud, bo właśnie nie potrafią spędzić niedzieli bez obecności wśród braci w kościele. Postawa godna największego szacunku. Czy potrafią sobie taką postawę wyobrazić osoby, dla których padający deszcz albo śnieg, czasem dla odmiany piękna, słoneczna pogoda i upał — są dostatecznym usprawiedliwieniem nieobecności? W wielu rodzinach niedziela jest jedynym dniem, kiedy można odrobić pewne domowe zaległości z całego tygodnia, kiedy można trochę dłużej pospać i nie spieszyć się. Realia życia (takie, jak: ciężka całotygodniowa praca — nierzadko z dala od domu — konieczność dorobienia do pensji, wychowywanie małych dzieci, i wiele innych) mają tę właściwość, że nie sposób z nimi walczyć. Wydaje się jednak, że wiele trudności dałoby się usunąć przez odpowiednie zorganizowanie czasu. Bądź co bądź żaden chrześcijanin nie może chyba powiedzieć, że treść czwartego przykazania go nie interesuje.

To wszystko jednak da się zrozumieć. Nie jesteśmy ideałami, nie potrafimy sprawnie organizować sobie czasu, żyjemy w wielkim rozproszeniu. Jak jednak zrozumieć poszczególne osoby i całe rodziny, które nie muszą przezwyciężać wielkich trudności, a w kościele pokazują się bardzo rzadko? Nie są to przypadki sporadyczne i można chyba mówić, że jest to swego rodzaju problem, zwłaszcza że niekiedy chodzi o osoby naprawdę zaangażowane w pracę Kościoła. Odbywa się, na przykład, zebranie jakiegoś zespołu, a bezpośrednio po nim rozpoczyna się nabożeństwo. Część zespołu udaje się do kaplicy, a część... idzie do domu. Albo wyznacza się jakieś zebranie w tym samym czasie, kiedy odbywa się tygodniowe nabożeństwo. W zebraniu uczestniczą osoby, które nigdy nie zaplanują sobie obecności na takim nabożeństwie.

Czy przyczyną tego zjawiska nie jest, tak często krytykowany, ewangelicki indywidualizm? „Mogę sobie poczytać Pismo Św. i pomodlić się w domu... Przecież Pan Bóg jest wszędzie, a ja najlepiej modlę się na łonie natury, w górach, w lesie; tam najłatwiej o kontakt z Bogiem". Czy na pewno tak jest? Czy naprawdę czytasz Pismo Święte i modlisz się? Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, czy nigdy w modlitwie lub przy lekturze Pisma Świętego nie usłyszałeś głosu Boga: „Uradowałem się, gdy mi powiedziano: do domu Pana pójdziemy!"? Czy nigdy nie przeczytałeś takiego zdania: „Baczmy jedni na drugich w celu pobudzania się do miłości i dobrych uczynków, nie opuszczając wspólnych zebrań naszych jak to jest u niektórych w zwyczaju"?

CO W NUMERZE?

Maj. Jeden z najmilszych miesięcy w roku. Wiosna w pełni — zieleń, kwiaty, radosne uśmiechy. Zaczynamy więc ten numer od bukietu kwiatów, który wręczamy wszystkim Matkom w dniu Ich święta. O tym, czym dla każdego z nas jest Matka, nie trzeba wiele mówić. Tym niemniej radzimy: przeczytajcie tekst na **s. 5** specjalnie Jej poświęcony.

Maj, to również miesiąc Zielonych Świąt. Gdy będziemy stroić nasze mieszkania tatarakiem i gałązkami brzeziny, pamiętajmy, że za tym obyczajem i zewnętrznym gestem kryje się głęboka, chrześcijańska treść: podobnie jak pod wpływem promieni słońca wokół budzi się do życia przyroda, tak i w człowieku, do którego zstępuje Bóg — Duch Święty — wszystko staje się nowe, czyste i przemienione. Uprzątając nasze domy, nie zapomnijmy o oczyszczeniu serc na przyjęcie Tego, który wieje, kędy zechce...

Działanie Ducha Świętego w człowieku czyni cuda. W modlitwie na **s. 4** prosimy Boga o łaskę takiego cudu, jakiego dokonał z Nicky Cruzem — przywódcą młodocianego gangu w Nowym Jorku. Począwszy od tego numeru **(s. 13)** zamieszczać będziemy co pewien czas kolejne odcinki wspomnień Nicky'ego i mamy nadzieję, że spotkają się one z zainteresowaniem Czytelników.

Na **s. 8—10** ks. Bogdan Tranda pisze o przekładzie Nowego Testamentu na współczesny i nowoczesny język polski i ilustruje artykuł ciekawym zestawieniem trzech wersji językowych tego samego fragmentu.

O działaniu audycji radiowej „Głos Ewangelii z Warszawy" mówi w wywiadzie udzielonym „Jednocie" — ks. Stanisław Krakiewicz. Wywiad ilustrujemy krótkimi fragmentami listów radiosłuchaczy do redaktorów programu.

W dziale „Dla nieteologów" — sylwetka Maxa Thuriana z Taizé, przygotowana przez Kingę Strzelecką oraz wykład nauki o Trójcy Świętej według współczesnego komentarza do Katechizmu Heildelberskiego.

NASZA OKŁADKA:

...Matkom dzieci kalekich, matkom dzieci wykolejonych, matkom nieustającym w miłości — złóżmy dziś piękny kwiat i dobre, ciepłe słowa. Wspomóżmy je naszą modlitwą...

Ks. JERZY SACHS

Boży program dla świata

Niechże tedy wie z pewnością cały dom Izraela, że i Panem i Chrystusem uczynił Go Bóg, tego Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali. A gdy to usłyszeli, byli poruszeni do głębi i rzekli do Piotra i pozostałych apostołów: Co mamy czynić, mężowie bracia? A Piotr do nich: Upamiętajcie się i niechaj każdy z was da się ochrzcić w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a otrzymacie dar Ducha Świętego. Obietnica ta bowiem odnosi się do was i do dzieci waszych oraz do wszystkich, którzy są z dala, ilu ich Pan, Bóg nasz, powoła.

Wielu też innymi słowy składał świadectwo i napominał ich, mówiąc: Ratujcie się spośród tego pokolenia przewrotnego. Ci tedy, którzy przyjęli słowo jego, zostali ochrzczeni i pozyskanych zostało onego dnia około trzech tysięcy dusz.

Dz. Ap. 2:36—41

Zielone Świątki to święta radości i nadziei: źródłem działania dobrej, szlachetnej i czystej mocy w widzialnym świecie jest zawsze Duch Święty — Pocieszyciel, Bóg żywy w Słowie, objawiony w osobie Jezusa Chrystusa. Wszelka dobra moc jest aktem działania Ducha Świętego, a wszelkie błogosławione owoce świadczą wobec ludzi o istnieniu szczęśliwej, nieprzekupnej służby Panu świata — Chrystusowi.
Kto z chrześcijan dożył i doczekał tych dni świątecznych, winien sercem i myślą wniknąć w liczne biblijne świadectwa, które mówią o dzisiejszym świecie. Ujrzyjmy samych siebie w tych obrazach i wydarzeniach, które są zawsze nowe, zapragnijmy osobiście przeżyć akty rządów Boga, aby znów ucieszyć się, że piękno życia tu, na ziemi, w całej swej pełni zależy wyłącznie od łaski Jezusa Chrystusa, od życia z Nim i w Nim dzięki światłości, jaką sam Pan przez Ducha w nas, grzesznikach, zapala.

Nasz tekst biblijny został wzięty z zakończenia zielonoświątkowego kazania Apostoła Piotra. Wraca tu do nas odwieczne echo prawdy, której cichy głos nie milknie przez stulecia po to, byśmy go słyszeli, jak kiedyś Eliasz na górze Horeb. Płoną dla nas potężne światła, które ukazują całej ludzkości jej Pana i Zbawiciela — Tego, który objawiony w Jezusie jest nam tak bliski, tak ludzki. Oto dar Zielonych Świąt!

Kazanie Apostoła zmusza do postawienia pytania: czy ogarnia nas lęk na myśl, że i z naszej przyczyny Jezus cierpiał i cierpi, że ludzie — a może i my? — krzyżują Go tępotą pseudochrześcijańskiej moralności? Błogosławiony lęk i przerażenie, które chwytają na widok gwałtu, jaki dokonuje się nad dobrem, czystością i prawdą wówczas, gdy Jezus jest brutalnie odsuwany, a tryumfuje człowiek zapatrzony w siebie. Błogosławiony człowiek, który musi na to zareagować i zająć stanowisko.

Apostoł Piotr głosi naukę Chrystusową, która pozostanie fundamentem wychowania i pracy w Kościele. „Upamiętajcie się!" Jakie to niepopularne! I właśnie dziś, w Zielone Świątki, w święto radości słyszymy surowe przypomnienie: zmień się! Ewangelia stale wzywa do upamiętania i woła wszystkich — świadomych w sobie niedosytu dobra — do Pana.
Apostoł wzywa do chrztu. Wierzymy, że w chrzcie przychodzi do nas Pan, że przenika nas — w sposób niepojęty a najprawdziwszy — dar Ducha Św., dar łaski, obietnicy, zbawienia! Kto do Pana przystępuje, kto korzy się przed Nim, kto czuje palenie grzechu, kto wyznaje swą nędzę przed Zbawicielem, ten staje się inny, odnowiony. Duch Św. i w tej chwili chce nas wspomóc, aby to, co boskie, stało się dla nas bardziej żywe, święte, ukochane, abyśmy widzieli wspaniały pochód Bożej sprawy w duszach i życiu ludzi i narodów.

Duch Święty często obiera własne — nie znane lub niedostępne nam — drogi działania, gdyż pragnie, aby człowiek doszedł do owego stanu, w którym ponad wszystko kocha się to, co mówi, nakazuje i ukazuje Bóg. Dlatego ujawnia się On nie tylko w pięknej poezji religijnej czy uczonych traktatach, ale również i w strasznych zmaganiach toczonych przez nieznane szare jednostki wielkiej ludzkiej armii, ujawnia się w krwawych cierpieniach, które człowiek chce przetrzymać dla Pana. On, Duch Święty, w samotności i opuszczeniu przywraca człowiekowi godność i niewzruszoną, spokojną pewność, że przezeń Bóg w nas zwycięża. „Upamiętajmy się, wyznajmy, czyż nie inne jest życie?" — to dar Ducha, to program wiary.
Duch Święty przychodzi i odbywa dziś swój pochód przez kontynenty. Dawni wyznawcy plemiennych religii stają się wiernymi wyznawcami Chrystusa. Ale czy dawni wyznawcy Chrystusa stają się serdeczniejsi i gorliwsi? Działanie Ducha Św. rozsadza ramy naszych ludzkich pojęć, sformułowań, dróg ustanowionych przez najróżniejsze dystynkcje wyznaniowe. Duch Święty mówi od tysiącleci Słowem Boga i chce — według obietnicy — mówić z każdym ludem, więc i z naszym narodem. Dlatego zwia-

stowanie Kościoła musi być zawsze świadectwem naszego przekonania, że Jezus jest Panem i Chrystusem tak samo tu, u nas w Polsce, jak gdzie indziej w świecie, że On nas — przez Ducha Św. — prowadzi jak najlepszy pasterz i chroni, abyśmy naszych skarbów religijnych, złota najczystszej prawdy nie wymienili na miedziaki koniunkturalnej, zewnętrznej pobożności, która dałaby się dopasować do takiej czy innej kultury.

Chrystus i Ewangelia to dwie potęgi — widzialne i niewidzialne — które mają oddziaływać na każdą kulturę i cywilizację, gdy światłość Boża przychodzi przez zwiastowanie i służbę Kościoła. Dlatego pozostaje w mocy słowo Apostoła: „Ratujcie się spośród tego pokolenia przewrotnego". To pokolenie było niby wierzące, lud wraz z kapłanami ogromnie był przejęty ważnością kultu, wspaniałością ceremonii! A jednak było przewrotne!

Dziś, w święto zesłania Ducha Świętego, musimy dobrze przyjrzeć się samym sobie — czy i my nie jesteśmy przewrotni? Czy nie jesteśmy bardziej niewolnikami ludzi i świata niż sługami i służebnicami Boga i Jego Kościoła? Duch Święty upewnia nas, że jesteśmy powołani do trwania w Kościele Chrystusa, w jego wspaniałej, boskiej czystości, jasności, świętości, aby przez to budować na ziemi życie czyste, jasne i święte.

Wspaniała nadzieja promienieje z dzisiejszego święta. Możemy zwyciężać, możemy skakać z radości, możemy świadomie pełnić służbę, kształtować kulturę i życie. Duch Św. wspiera nas tchnieniem prawdy, obdarza Słowem, ożywia, chroni, abyśmy nie byli manekinami czy magnetofonami, które nagrywają chrześcijańską wiarę, lecz żywymi istotami świadomymi i wdzięcznymi za ponowne pozyskanie! Dla kogo? Czy na pewno dla Chrystusa? Zamyślmy się, wniknijmy w siebie, nim odpowiemy. Wspomóż nas, Duchu Święty, Duchu prawdy i życia! Czy zależy nam na tym, czy cieszymy się i jesteśmy pewni słuszności tego, że Kościół odbywa swą drogę przez wszystkie kontynenty? Na pewno wszyscy potwierdzimy, gdy nas ktoś o to zapyta. Obyśmy więc umieli dziś wyznać i wołać z wszystkimi wierzącymi: Boże, Duchu Święty, umocnij w nas pokój i radość, żeśmy Twoi, a przez Ciebie — z Chrystusem, Panem naszym, i dla Niego żyjemy i pracujemy! Kościół w boju o miłość — jest Kościołem zwycięskim, jeśli tylko żywy w nas będzie Pan Jezus i gorliwa modlitwa o Jego uwielbienie. Oby to było szczęściem wielu, wielu serc, które w Polsce i innych krajach cicho sobie powiedzą: a jednak i mnie, choć tak małego, oddalonego, Pan kocha, bo dzisiaj coś przeżyłem, poznałem, że w Nim jest miłość.

Oby dzisiejsze święta nie były tylko datą, ale rzeczywistością istotnego nabożeństwa i szczęścia w duszach braci i sióstr na całym świecie, w sumieniach ożywionych radością drogi do Chrystusa. Wtedy, w Jerozolimie, pozyskano dla Pana trzy tysiące dusz. Jak jest dzisiaj?! Oświeć nas i wspomóż Panie, Duchu Święty.

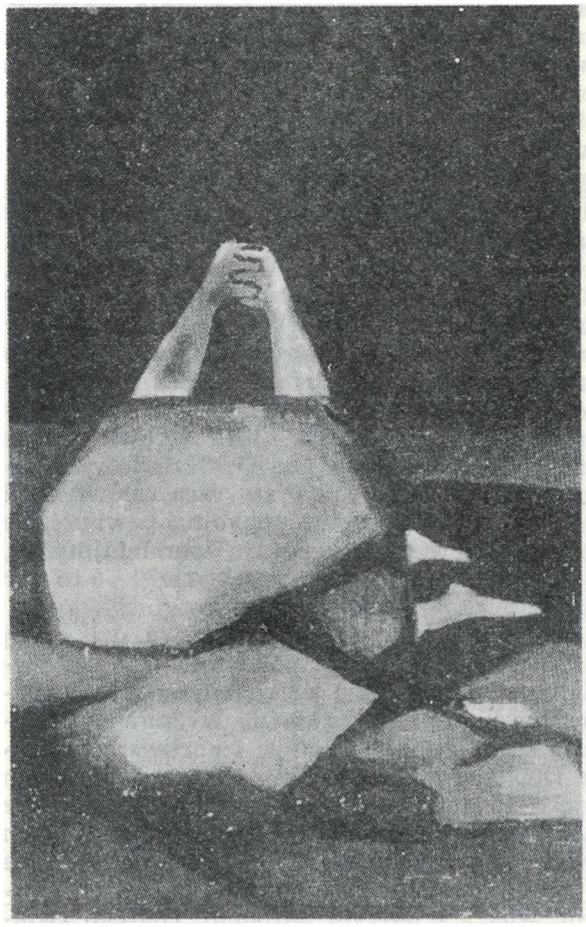

Co czynić mamy?

Ustami Piotra napominasz nas, Panie:
Upamiętajcie się!
Ratujcie się spośród pokolenia przewrotnego!
Ale, jak przewrotne ratować się ma od przewrotnego,
a złe wyzwolić od zła?
Jak pyszne ma dostrzec pychę,
a zdradzające — zdradę?
Jak szpetne ma dojrzeć szpetotę,
a podłe — podłość?
Jak ślepiec ma poznać barwę,
a głuchy usłyszeć Twój głos?
O, Duchu Święty — Duchu Mocy, Duchu Prawdy — przybądź i dokonaj w nas cudu:
cudu — chrztu,
cudu — wyzwolenia,
cudu — śmierci starego,
cudu — nowego życia.
Cudu, co przewrotne uratuje od przewrotności,
a zło wyzwoli od złego;
pysznego pozbawi pychy,
a zdrajcę uwolni od zdrady;
szpetotę przemieni w piękno,
a podłości da poznać miłość.
Cóż my, bez Twego cudu, czynić mamy?
Przybądź
i czyń Świętość i Moc i Prawdę
w człowieku,
któremu przedtem jednak zechciej podarować
cud wiary. Amen.

Dzień Matki

Dzień Matki. Na okładkach i tytułowych stronach pism — zdjęcie młodej, radosnej kobiety z niemowlęciem na ręku lub otoczonej gromadką dzieci, trzymających kwiaty. Obraz szczęścia, radości, dumy macierzyńskiej... Czy widział ktoś w tym dniu zdjęcie matki prowadzącej za rękę syna-debila, albo matki przy łóżku nieuleczalnie chorego kaleki, albo matki-staruszki tak samotnej, jak tylko samotny może być stary i zapomniany człowiek?

Dzień Matki. Po miesiącach ciąży, lepiej lub gorzej znoszonej, po godzinach mniej lub bardziej przewlekłego i bolesnego porodu — wydawszy na świat żywe dziecko — kobieta stała się matką. Ile w tym jej osobistej zasługi? Tyle, że zaakceptowała tę ciążę i zdecydowała się urodzić. Wydaje jej się jednak rzeczą oczywistą, że dziecko, któremu dała życie, powinno być w pełni udane. Tymczasem życie niesie niespodzianki. Czasem dziecko rodzi się zdrowe i dopiero później następują jakieś tragiczne, nieodwołalne zmiany, czasem przychodzi już na świat upośledzone fizycznie czy umysłowo. I matka musi żyć — dzień po dniu, godzina po godzinie — z tym, kogo urodziła, żyć dla tego, kogo urodziła. Gdy dziecko rozwija się prawidłowo, gdy poza nieuniknionymi — mniejszymi lub większymi — kłopotami wszystko przebiega jak należy, przyjmuje się to jako rzecz oczywistą. Jak by się to od losu należało. Łatwiej o chwile błagalnych próśb w momentach zagrożenia niż o poczucie nieustannej wdzięczności, gdy jest dobrze. To takie ludzkie!

Dzień Matki. Czym zasługuje się na miano matki, na hołd w określonym dniu maja, na kwiaty i słowa uznania?

Czy to łatwo być matką? Nie taką z okładki ilustrowanego magazynu, ale taką na co dzień. Praca, dom, dzieci. Czasem ledwie czasu starcza, by je ubrać, nakarmić, a przecież trzeba jeszcze dbać o ich rozwój duchowy. Trzeba rozmawiać z dzieckiem, dostrzegać w nim człowieka. Ile problemów przybywa, gdy dzieci zaczynają dorastać, gdy gwałtowne (często złe) wpływy z zewnątrz zdają się niweczyć cały dotychczasowy trud wychowania. Z ust ludzi dorosłych słyszy się nieraz słowa: „to, do czego doszedłem, zawdzięczam głównie matce". Albo: „to, że się nie wykoleiłem, zawdzięczam matce". Kto jednak wie, ile ta matka wylała łez, ile godzin spędziła na błagalnych modlitwach, z których czerpała siły do tego, by we właściwym czasie umiejętnie pokierować swym dzieckiem.

Dzień Matki. Normalnie każda kobieta pragnie dziecka, niektóre odczuwają wprost jakiś głód dziecka, jakąś nieugaszoną tęsknotę za uściskiem małych rączek, za tupotem małych nóżek po domu. Dziecko zwykle wyzwala w ludziach to, co dobre. Można obserwować choćby w pociągu, jak uwaga otoczenia koncentruje się na obcym maleństwie. Zazwyczaj od razu znajduje się miejsce dla matki z dzieckiem na ręku. Szczebiot dziecka, jego swoisty sposób odkrywania świata — zniewalają dorosłych. „Banana ciem, banana!" — woła mała, śliczna, czarnooka dziewuszka, siedząca na kolanach matki. Pasażerowie z uśmiechem przyglądają się małemu łakomczuchowi zajadającemu owoc, a potem zaczynają z nim rozmowę. Matka troskliwie wyciera dziecku rączki i buzię, uśmiechając się z zadowoleniem. Wszystko tu takie proste, miłe.

Zajrzyjmy jednak, na przykład, do poradni zdrowia psychicznego dla dzieci lub do szpitala dziecięcego, szczególnie na oddział chirurgii urazowej. Poczekalnia pełna ludzi, wielu rodziców przywiozło dzieci z bardzo daleka, by tu szukać pomocy. Pięcioletni chłopczyk z tępą twarzyczką bez przerwy wchodzi i schodzi ze schodów, niczym nie można go zająć. Matka nie spuszcza zeń oczu, w których maluje się nieustanny niepokój i bezgraniczne znużenie. Mąż pije, owszem, ale kto by pomyślał, że dzieciak od tego będzie taki. Inne chowają się zdrowo, tylko z tym kłopot. To prawda, przypomina sobie, że mąż akurat w chwili poczęcia tego dziecka był po wódce, ale żeby to miało związek z tym, że mały nie jest normalny — nie przyszło jej do głowy. Teraz go może tu wyleczą, ale kto to może wiedzieć... Z drzwi gabinetu wychodzi tęga, wysoka dziewczynka, twarz debila, niewyraźny bełkot. Wyrywa się matce, która troskliwie pomaga jej się ubrać. Matka wyjaśnia przyglądającym się, że małej tak śpieszno do szkoły. Gdy mówi te słowa, twarz je rozjaśnia uśmiech dumy. Za chwilę obie opuszczają poradnię — starannie ubrana dziewczynka z tornistrem na plecach, i kobieta, która wie, co to znaczy poświęcić swe życie najbliższej istocie, całkowicie od niej zależnej. Zna ona te same troski, które są udziałem innych matek, ale dane jest jej przecierpieć znacznie więcej.

W trudnym macierzyństwie, w dramatycznych momentach walki o życie i zdrowie dziecka, kobieta-matka wykazuje, co jest warta jako człowiek. Można by tu zacytować słowa: „twoja postawa w cierpieniu jest miarą twego człowieczeństwa". Instynkt macierzyński sublimuje się do granic heroizmu. To miłość, zwykła miłość matki do dziecka pozwala zaakceptować je takim, jakim ono jest.

Uścisk małych rączek, czułe przytulenie ciepłego ciałka, bezgraniczne zaufanie maleństwa — to szczęście macierzyństwa. I ta świadomość — że to moje, własne, ukochane. Chociaż robi się coraz większe, coraz bardziej niezależne, istnieją nici łączące nierozerwalnie serce matki ze wszystkim, co dotyczy jej dziecka.

Dzień Matki. Przychodzi taki jeden dzień w roku, gdy czci się tę, która miała szczęście zostać matką. W tym dniu należy się pamięć tym kobietom, które poznały ból, cierpienie i zawód, związane z macierzyństwem, tym, które same jednak nie zawiodły, które mimo wszystko pozostały wierne swemu dziecku. Matkom dzieci kalekich, matkom dzieci upośledzonych, matkom dzieci wykolejonych, matkom — opuszczonym staruszkom, matkom nieustającym w miłości — złóżmy dziś piękny kwiat i dobre, ciepłe słowa. Wspomóżmy je naszą modlitwą.

W. T.

Rozmowa z ks. Stanisławem Krakiewiczem

kierownikiem redakcji audycji radiowej „Głos Ewangelii z Warszawy"

Red.: Od naszych Czytelników z różnych stron kraju dowiedzieliśmy się, że regularnie słuchają audycji „Głos Ewangelii z Warszawy". Dlatego w redakcji „Jednoty" postanowiliśmy, by Czytelnikom powiedzieć coś więcej o twórcach tego, tak bardzo pożytecznego pomysłu. Ponieważ Ksiądz jest właśnie autorem i inicjatorem interesującej nas audycji, do Niego postanowiliśmy zwrócić się o informację. Interesują nas, przede wszystkim, okoliczności, w jakich narodził się pomysł głoszenia w języku polskim Ewangelii przez radio. Jak i kiedy do tego doszło?

Ks. S. K.: W 1964 r. zostałem zaproszony do Monte Carlo przez pewnego kaznodzieję, który głosił Słowo Boże w audycjach słowiańskich nadawanych przez rozgłośnię „Trans World Radio". Przez niego poznałem dwóch członków religijnej misji radiowej TWR w Monte Carlo. Przyjęli mnie nadzwyczaj serdecznie i zapoznali z całością prac radia. W rozmowach, które prowadziliśmy, wynikła sprawa ewentualnego nadawania audycji w języku polskim. Tutaj trzeba dodać, że wyznawaną przez TWR w Monte Carlo zasadą jest nadawanie audycji nie skażonych żadnymi akcentami antypaństwowymi, ani antykościelnymi. Audycje religijne mają jedyny cel: głoszenie Ewangelii Chrystusowej.

Kiedy bliżej zainteresowałem się tą propozycją, okazało się, że zarząd rozgłośni byłby skłonny nadawać również polskie audycje, o ile władze naszego kraju wyraziłyby zgodę. Jednocześnie zapewniono mnie, że teksty audycji nadsyłane z Warszawy szłyby na antenę bez żadnych zmian i korekt.

Z takimi informacjami wróciłem do Polski. Wkrótce potem złożyłem memoriał do władz i w bardzo krótkim czasie, bo już chyba po dwóch miesiącach, wyrażono zgodę na emitowanie audycji. Radość była ogromna. Bóg wysłuchał naszych próśb, bo trzeba Pani wiedzieć, że w tej intencji modliło się wielu ludzi. Wdzięczni również jesteśmy naszym polskim władzom za niezwykle przychylny stosunek do naszej pracy misyjnej przez radio.

Red.: Kiedy nadana została pierwsza audycja?

Ks. S. K.: O, to pamiętna data: 25 grudnia 1965 roku — pierwszy dzień świąt Narodzenia Pańskiego.

Red.: Na jakich falach i z jaką częstotliwością nadawane są audycje „Głosu Ewangelii z Warszawy"?

Ks. S. K.: Codziennie, z wyjątkiem piątków, od godz. 17.15 do 17.30 na fali 31 metrów. Ponadto pięć razy w tygodniu, tj. w niedzielę, poniedziałek, wtorek, czwartek i sobotę wieczorem, o godz. 20.45, na fali 41 metrów powtarzamy audycje dla słuchaczy-rolników. Jest to innowacja wprowadzona na życzenie wielu słuchaczy, którym praca w polu lub w gospodarstwie nie pozwala słuchać naszej audycji o wcześniejszej porze. Od stycznia br., w każdą niedzielę nadajemy też audycje religijne dla dzieci. Biorą w nich udział również dzieci — śpiewają pieśni i deklamują wiersze.

W audycjach, które mają formę nabożeństwa składającego się z pieśni, modlitwy, czytania Słowa Bożego i kazania, poruszane są — przede wszystkim — tematy ewangelizacyjne. Staramy się w nich przekonać słuchaczy o konieczności pojednania się z Bogiem przez przyjęcie wiarą Jezusa Chrystusa. W naszych audycjach poruszamy ponadto tematy okazjonalne, związane głównie ze świętami chrześcijańskimi. Audycje posiadają zawsze charakter budujący. Staramy się podkreślać w nich również sprawy patriotyczne, narodowe i społeczne — jesteśmy bowiem świadomi, że dla wielu rodaków żyjących na obczyźnie nasze audycje są jednym z ważkich elementów łączności ze Starym Krajem. Przypomnę tu również audycję nadaną z okazji święta narodowego — 22 lipca. Cieszyła się ona wielką popularnością wśród słuchaczy. Było to nabożeństwo w intencji naszej Ojczyzny. Modliliśmy się wówczas o błogosławieństwo Boże dla Polski, dla ludzi — ich pracy i trudu. Na marginesie dodam, że sygnałem wywoławczym „Głosu Ewangelii" jest kilka taktów pieśni „Boże, coś Polskę...", od słów „Przed Twe ołtarze..."

Red.: Interesuje nas, z jakich środowisk — społecznych i kościelnych — wywodzą się radiosłuchacze?

Ks. S. K.: Proporcje występujące w społeczeństwie polskim wyraźnie uwidoczniają się i wśród słuchaczy „Głosu Ewangelii": najwięcej jest rzymskich katolików, ale są też i członkowie innych Kościołów chrześcijańskich. Bardzo wielu słuchaczy to chłopi, mieszkańcy małych miast i osad, ludzie starsi, dzieci... Zwłaszcza dla ludzi starych i chorych nasza audycja spełnia ważną rolę. Także dla tych wszystkich, którzy mieszkają w miejscowościach oddalonych o kilka kilometrów od najbliższego kościoła. Im wszystkim radio zastępuje codzienne lub coniedzielne nabożeństwo.

Red.: Wiemy, że Redakcja otrzymuje dużo listów. O czym piszą wasi korespondenci, z czym się do was zwracają, czego oczekują?

Ks. S. K.: Istotnie, na adres „Głosu Ewangelii" (Warszawa 1, skrytka poczt. 484) przychodzi bardzo dużo listów. Wielu ludzi ma problemy związane ze sprawami wiary, wielu znajduje się w trudnych lub nawet dramatycznych sytuacjach życiowych. Często piszą z prośbą o radę. Radzimy więc i próbujemy pomóc w przełama-

niu kryzysu, czasem pocieszamy — np. po stracie kogoś bliskiego. Przychodzą też listy z pytaniami z zakresu teologii, podstaw doktrynalnych chrześcijaństwa itd., itd. — Co to znaczy wierzyć? Jak wierzyć? Co robić, by zostać zbawionym? Jak się modlić? — oto pytania, na które odpowiadać musimy najczęściej. Prawie 90 proc. listów zawiera prośbę o przysłanie Pisma Świętego. Jest to fakt bardzo znamienny, w zupełnie oczywisty sposób świadczący o nikłej znajomości Pisma Świętego wśród naszych rodaków — pomimo tysiącletniej tradycji chrześcijaństwa w Polsce. Pragniemy więc przez naszą służbę, przez rozpowszechnianie Pisma Świętego przyjść z pomocą naszemu ludowi.

Red.: Jak redakcja „Głosu Ewangelii" radzi sobie — od strony technicznej — z odpowiedziami na taką masę listów?

Ks. S. K.: Gdybyśmy chcieli odpowiadać na każdy list indywidualnie — musielibyśmy zatrudnić cały sztab pracowników, który nie robiłby nic innego poza odpowiadaniem na listy. Z drugiej jednak strony nie chcemy, aby choć jeden list pozostał bez odpowiedzi. Pracy jest dużo, a personel mamy nieliczny, dlatego opracowaliśmy pewne wzorce listów: jeśli sprawa jest typowa — wysyłamy taki „wzorzec", ale gdy mamy do czynienia z bardziej skomplikowaną sytuacją — analizujemy list bardzo dokładnie i indywidualnie odpowiadamy słuchaczowi.

Red.: A co z wysyłką Pisma Świętego?

Ks. S. K.: Każdy, kto o nie prosi — otrzymuje, z tym wszakże zastrzeżeniem, że ludziom zupełnie „surowym" w sprawach wiary wysyłamy na początek cztery Ewangelie; bardziej zaawansowanym — Nowy Testament, a tym osobom, co do których możemy mniemać, iż znają już choćby trochę Nowy Testament — wysyłamy całą Biblię.

Red.: Na zakończenie rozmowy, pozwoli Ksiądz, że zapytam o coś, co najbardziej nas interesuje ze względu na fakt, że „Jednota" jest czytana w różnych kręgach chrześcijańskich: Jak redakcja „Głosu Ewangelii" rozstrzyga i ustawia zagadnienia konfesyjne? Skoro macie słuchaczy zarówno wśród katolików, jak i ewangelików, czy nie może powstać sytuacja, w której moglibyście, mimo woli, ranić uczucia jednej lub drugiej strony?

Ks. S. K.: Naszą służbę w radio traktujemy tylko i wyłącznie jako formę głoszenia Ewangelii Chrystusowej. Bardzo konsekwentnie staramy się unikać akcentów konfesyjnych, zgodnie z naszą zasadą, że człowiekowi trzeba jedynie pomóc uwierzyć. Jeśli to nastąpi — wybór Kościoła jest już jego prywatną sprawą. Dla nas to już nie ma znaczenia, skoro ten człowiek uwierzył. Nie Kościół bowiem, lecz jedynie Jezus Chrystus daje zbawienie. Chcemy, aby nasi słuchacze to zrozumieli i w tę prawdę uwierzyli.

Rozmawiała: Barbara Stahl

Radiosłuchacze do redakcji „Głosu Ewangelii"

Drodzy Bracia,

Słucham codziennie Waszych nauk przez radio, co mnie bardzo podtrzymuje na duchu, gdyż mam już 57 lat, a do kościoła 7 km. Zimą mało mogę z niego korzystać, jedynie z nauk podawanych przez radio. Chętnie bym czytała pisma religijne lub Pismo Święte, ale nie posiadam. Proszę, przyślijcie mi coś do czytania.

Droga Redakcjo,

List ten piszę w imieniu mojej Matki. Jest ona ciężko chora i nie może normalnie pracować. Jedyną jej (...) nadzieją w wartość tego świata jest stałe słuchanie Waszego programu (...). Przekonany jestem, że będąc w posiadaniu książek, o które Was gorąco proszę, o wiele lżej będzie ona znosić cierpienia, jakimi ją los obarczył.

Przewielebni Księża,

Najpierw serdeczne „Bóg zapłać" za budujące, piękne i głęboko wpadające w serce kazania. Gdy tylko jest to możliwe, słucham tych Bożych słów, modlę się z Wami i za Was, i wdzięczna jestem, niewymownie wdzięczna, za przeżycia i wzruszenia, jakie mam słuchając „Głosu Ewangelii". Jestem inwalidą wojennym z 1939 roku, niewidomą, cierpiącą na wiele dolegliwości. Słuchając „Głosu Ewangelii" czuję się lepiej; słowa słyszane — jak balsam koją mą duszę i ciało.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,

Tymi słowy rozpoczynam do Was list. Mam 10 lat, chodzę do czwartej klasy. Dziś nastawiłem radio i usłyszałem Wasz głos przemawiający do dzieci. Bardzo mi się to spodobało, bo ja kocham bardzo Boga. I prosiłbym o przysłanie mi książki o Panu Bogu.

Zwracamy się z uprzejmą prośbą o przysłanie nam Pisma Świętego, którego — mimo kilkakrotnych starań — nie mogliśmy do tej pory zdobyć. (...) Przy tej okazji pragniemy donieść, że Wasze audycje słuchane są przez nas z wielką uwagą i zainteresowaniem. Na godz. 17.00, tj. na czas nadawania audycji, ściągają do naszego domu sąsiedzi, by móc wysłuchać Słowa Bożego.

Drodzy Bracia z „Głosu Ewangelii",

...Jesteśmy wdzięczni Wam, że głosicie Słowo Boże przez radio w ojczystym języku (...). Modlimy się wraz z rodzicami za Wasze zdrowie, aby (...) Pan Jezus Chrystus towarzyszył Wam w głoszeniu Ewangelii i w życiu osobistym (...) Mam dla Was ciekawostkę: w mojej miejscowości słucha Was duża rzesza słuchaczy, bez względu na wyznanie, czy to katolicy, czy inni, co nie wierzą w księży i Papieża.

(Nazwiska i adresy autorów wykorzystanych przez nas listów — są w posiadaniu redakcji. Tą drogą dziękujemy też Redakcji „Głosu Ewangelii" za udostępniony nam materiał.)

KS. BOGDAN TRANDA

Ilustracja do tekstu Gal. 3:8 — „W Tobie będą błogosławione wszystkie narody".

Nowoczesny przekład Nowego Testamentu

Warszawski oddział Towarzystwa Biblijnego wystąpił z inicjatywą dokonania kolejnego przekładu Nowego Testamentu na język polski. Powołana została międzywyznaniowa komisja tłumaczy pod przewodnictwem doc. dr. Witolda Benedyktowicza, naczelnego superintendenta Kościoła Metodystycznego, oraz komisja recenzyjna i komisja kościelna — obie pod przewodnictwem ks. prof. Andrzeja Wantuły, biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Niedawno, w roku 1966, ukazał się Nowy Testament w tłumaczeniu profesorów Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, a dotąd jeszcze trwają prace nad przygotowaniem do druku Starego Testamentu. Rok wcześniej prasę Pallottinum opuściło Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie dokonanym przez biblistów katolickich. Zachodzi w związku z tym pytanie, czy jest rzeczą celową angażowanie zespołu ludzi z niewielkiego środowiska ewangelickiego, prawosławnego i starokatolickiego do wielkiego zadania, i powtarzanie pracy już dokonanej.

Otóż, z założonego projektu wynika, że praca nie ma polegać ani na powtarzaniu, ani na poprawianiu tego, co zrobiono. Chodzi bowiem o przygotowanie tekstu Nowego Testamentu w języku współczesnym, potocznym. Czy istnieje zapotrzebowanie na tego rodzaju przekład? Zanim doszło do powołania komisji tłumaczy, Towarzystwo Biblijne zwróciło się do wszystkich zainteresowanych Kościołów, aby uzyskać ich opinię w tej kwestii. Odpowiedź była jednoznaczna i jednomyślna, dlatego przystąpiono do prac przygotowawczych. Można jednak zapytać, czy osoby, które udzieliły tej odpowiedzi, mają dostateczne rozeznanie i czy ich opinia wyraża przekonanie ogółu wiernych. O ile nam wiadomo, nie przeprowadzano w tej sprawie żadnej sondy. Może więc Czytelnicy „Jednoty" zechcieliby się wypowiedzieć, czy odczuwają potrzebę nowego przekładu? Nam się wydaje, że inicjatywa Towarzystwa jest słuszna i — z jednej strony — należy ją powitać z uznaniem, z drugiej zaś — z zainteresowaniem co do wyników zamierzonej pracy, zwłaszcza że zespół tłumaczy będzie odmienny od poprzedniego, o wiele młodszy wiekiem.

Zamierzone dzieło nie jest przedsięwzięciem odosobnionym, lecz fragmentem szeroko zakrojonej pracy, podjętej na skalę światową przez Zjednoczone Towarzystwa Biblijne. Celem jej jest przygotowanie takiego przekładu Nowego Testamentu, który zawierałby słownictwo przeciętnego, współczesnego człowieka, a pomijałby — o ile to jest możliwe — wyrazy i zwroty wyszłe z użycia. Nowe wersje już się ukazały w kilku językach i od razu zyskały sobie ogromną popularność, czego dowodem są ciągle rosnące nakłady. Z dotychczas poczynionych doświadczeń wynika, że istnieje wielkie zapotrzebowanie na przekład, który nadawałby się do lektury dla przeciętnego, nawet nie przygotowanego czytelnika. Od tradycji odbiega się już w samym tytule: zamiast *Nowy Testament* — na okładkach pojawia się napis: *Good News for Modern Man, La Bonne Nouvelle, Die Gute Nachricht,* czyli *Dobre wiadomości dla współczesnego człowieka.* Nietrudno domyślić się, że chodzi o oddanie treści słowa Ewangelia (gr. *Euangelion),* które znaczy właśnie „dobre wiadomości". W sensie technicznym wprawdzie tylko cztery pierwsze księgi Nowego Testamentu (odnoszące się do historii życia i męki Jezusa Chrystusa) noszą nazwę Ewangelii, ale w pełni uzasadnione jest użycie tego słowa dla określenia całego zwiastowania o zbawieniu przez Jezusa Chrystusa, i dlatego Nowy Testament, jako całość, można nazwać Ewangelią, czyli — jeśli kto woli — „Dobrymi wiadomościami".

Czy ta nazwa przyjmie się w języku polskim? Czy nie brzmi trochę sztucznie? Może byłoby lepiej, po prostu, nie uciekając się do pośrednictwa łaciny *(Novum Testamentum),* przetłumaczyć grecki tytuł *(he kaine diatheke)* na „Nowe Przymierze". Niedługo zapewne dowiemy się, jaką decyzję poweźmie zespół tłumaczy.

Społeczeństwo polskie jest środowiskiem bardzo chłonnym, jeśli chodzi o Pismo Święte, ponieważ poza niektórymi, wąskimi kręgami (przeważnie protestanckimi) znajomość Biblii jest znikoma. Pomimo to, a może

Ilustracja do tekstu Łuk. 18:9—14 — przypowieść o faryzeuszu i celniku.

właśnie dlatego, dość gwałtownie budzi się zainteresowanie, a obowiązkiem Kościoła jest je zaspokoić, podając materiał przyswajalny — to znaczy w wersji językowej jasnej, zrozumiałej dla przeciętnego czytelnika — i w pełni wartościowy. Jeśli z tego obowiązku nie potrafimy się wywiązać, to ludzie sięgną po takie *Opowieści biblijne* Zenona Kosidowskiego, słusznie przez kogoś nazwane zwykłym brykiem, ponieważ względem arcydzieła literatury światowej zastosowano zabieg niedopuszczalny i niespotykany nawet w odniesieniu do dzieł przeciętnej miary, a polegający na dowolnym przykrawaniu tekstu i przerabianiu (i to bez znajomości języka oryginału) zależnie od własnych potrzeb.

Warto wiedzieć, że teoria przekładu — czy może lepiej — sztuka przekładu bardzo wiele zawdzięcza tłumaczeniom Biblii, z których pierwsze powstały już w III w. przed Chrystusem. Tłumaczenie Pisma Świętego ma więc bardzo długą tradycję, dłuższą od jakiegokolwiek innego rodzaju tłumaczenia. Do 1968 r. Biblia została przetłumaczona na 1393 języki. Jej tłumacze pracują we wszystkich regionach świata. Mimo bardzo starej sztuki tłumaczenia, nowe spojrzenie na istotę Pisma Świętego jest zdobyczą ostatnich dziesięcioleci, osiągniętą dzięki postępowi w językoznawstwie.

Celem przekładu jest oddanie w drugim języku tego, co zostało sformułowane w języku pierwszym. Uważano dotąd, że teksty święte powinny być reprodukowane, czyli możliwie najściślej przestrzegano formalnej wierności tekstowi oryginalnemu, na przykład: w kolejności słów, w formach gramatycznych i w dosłownym tłumaczeniu zwrotów. Tak postępował, na przykład, św. Hieronim, gdy tłumaczył Biblię na język łaciński (*Vulgata*). Obecnie wymaga się od dobrego tłumaczenia, aby w sposób jasny i zrozumiały oddawało znaczenie tekstu oryginalnego, natomiast nie przywiązuje się wielkiej wagi do formalnej zgodności obu tekstów. Wszystko, co zostało powiedziane w jednym języku, może być powiedziane również w drugim, jeżeli forma nie jest zasadniczym elementem przekazu.

Zwykle nie da się przetłumaczyć gry słów, choć można oddać sens wypowiedzi. Tak jest, na przykład z fragmentem Ewangelii Jana: *„wiatr wieje dokąd chce...”* i *„... każdy, który się narodził z ducha”*. W obu przypadkach występuje słowo *pneuma* na określenie i wiatru, i Ducha. Podobnie ma się sprawa z oddaniem w innym języku rytmiki poezji hebrajskiej (Psalmy).

Każdy język ma swego własnego ducha, to znaczy pewne szczególne cechy wyróżniające, które nadają mu odrębny charakter, np.: możliwości słowotwórcze, szczególny szyk zdania, sposób łączenia zdań podrzędnych i współrzędnych itd. W tłumaczeniu trzeba te właściwości honorować, jednocześnie nie narzucając ducha języka, z którego tłumaczymy, językowi, na który tłumaczymy. Dotychczas tłumacząc święte teksty starano się wyrazić je w sposób dostojny, namaszczony, co wcale nie oddaje rzeczywistego tonu Biblii. Ten, poza niektórymi partiami, wcale nie jest uroczysty. Autorzy biblijni wypowiadali się często w sposób gwałtowny, szorstki, nie dobierając ani gładkich, ani uroczystych słów. Korzystali z możliwości i zasobów języka potocznego, nie wymyślali jakichś specjalnych określeń dla potrzeb przekazu biblijnego. Nasz problem polega na tym, że kulturalny kontekst czasów biblijnych — nadający sens poszczególnym słowom i zwrotom — nie istnieje, więc często nie możemy ściśle określić, co dane słowo znaczy. Jednakże całe słownictwo było głęboko zakorzenione w określonych doświadczeniach ludzi i dlatego właściwe rozumienie wszystkich zwrotów zależy od powiązania z takim rodzajem środowiska. Autorzy biblijni wypowiadali się w tym przekonaniu i z tym zamiarem, że będą rozumiani. Tymczasem, wielu ludzi współczesnych sądzi, że istotną cechą Biblii jest tekst niezrozumiały i niejasny. Biblia nie jest zbiorem pism kabalistycznych czy orzeczeń wyroczni delfickiej. Autorzy biblijni mieli na myśli konkretną historyczną sytuację i zwracali się do żywych ludzi, stojących wobec trudnych, konkretnych problemów. Nie zawsze potrafimy dzisiaj dokładnie zrozumieć, o co chodziło autorom, ale bylibyśmy wobec nich niesprawiedliwi twierdząc, że zamierzali pisać niejasno. Ten sam cel musi przyświecać tłumaczowi. Współczesny czytelnik tekstu biblijnego powinien bez trudności rozumieć treść i tylko w przypadkach koniecznych posługiwać się komentarzem ze

względu na obecnie zupełnie inny kontekst — kulturowy i historyczny.
Dla przykładu chcemy przedstawić jeden fragment Listu do Filipian (2 : 2—11) w trzech różnych przekładach. W pierwszej kolumnie znajduje się przekład Biblii Gdańskiej, w drugiej — nowy przekład z 1966 r., i w trzeciej — próbka przekładu według nowych kryteriów.

1. Jeźli tedy macie jaką pociechę w Chrystusie, jeźli jaką uciechę miłości, jeźli jaką społeczność ducha, jeźli są wnętrzności i zlitowania w was.
2. Dopełnijcież wesela mojego, abyście jednoż rozumieli, jednostajną miłość mając, będąc jednomyślni i jednoż rozumiejący.
3. Nic nie czyniąc spornie, albo przez próżną chwałę, ale w pokorze jedni drugich mając za wyższych nad się.
4. Nie upatrujcie każdy tylko, co jest jego, ale każdy też, co jest drugich.
5. Tego tedy bądźcie o sobie rozumienia, które było i w Chrystusie Jezusie.
6. Który będąc w kształcie Bożym, nie poczytał sobie tego za drapiestwo równym być Bogu,
7. Ale wyniszczył samego siebie, przyjąwszy kształt niewolnika, stawszy się podobny ludziom;
8. I postawą znaleziony jako człowiek, sam się poniżył, będąc posłusznym aż do śmierci, a to do śmierci krzyżowej.
9. Dlatego też Bóg nader go wywyższył, i darował mu imię, które jest nad wszelkie imię;
10. Aby w imieniu Jezusowem wszelkie się kolano skłaniało, tych, którzy są na niebiesiech, i tych, którzy są na ziemi, i tych, którzy są pod ziemią.
11. A wszelki język aby wyznawał, że Jezus Chrystus jest Panem ku chwale Boga Ojca.

1. Jeśli tedy w Chrystusie jest jakaś zachęta, jakaś pociecha miłości, jakaś wspólnota Ducha, jakieś współczucie i zmiłowanie,
2. Dopełnijcie radości mojej i bądźcie jednej myśli, mając tę samą miłość, zgodni, ożywieni jednomyślnością.
3. I nie czyńcie nic z kłótliwości ani przez wzgląd na próżną chwałę, lecz w pokorze uważajcie jedni drugich za wyższych od siebie;
4. Niechaj każdy baczy nie tylko na to, co jego, lecz i na to, co cudze.
5. Takiego bądźcie względem siebie usposobienia, jakie było w Chrystusie Jezusie,
6. Który, chociaż był w postaci Bożej, nie upierał się zachłannie przy tym, aby być równym Bogu.
7. Lecz wyparł się samego siebie, przyjął postać sługi i stał się podobny ludziom; a okazawszy się z postawy człowiekiem,
8. Uniżył samego siebie i był posłuszny aż do śmierci i to do śmierci krzyżowej.
9. Dlatego też Bóg wielce go wywyższył i obdarzył go imieniem, które jest ponad wszelkie imię,
10. Aby na imię Jezusa zginało się wszelkie kolano na niebie, i na ziemi, i pod ziemią,
11. I aby wszelki język wyznawał, że Jezus Chrystus jest Panem, ku chwale Boga Ojca.

1. Jeżeli tylko Chrystus ma na was jakiś wpływ, jeżeli was pobudza do miłości, jeżeli posiadacie tego samego Ducha, jeżeli odczuwacie współczucie i litość,
2. Sprawcie mi tę radość, że będziecie jednakowo myśleli, tę samą mając miłość, zachowując jedność serca i myśli.
3. Nie czyńcie niczego z chęci wywyższania się ani z próżności, ale bądźcie wobec siebie pokorni, uważając jedni drugich za lepszych od siebie.
4. Niech każdy dba bardziej o cudze niż o własne sprawy.
5. Myślcie o sobie tak, jak Jezus Chrystus,
6. Który zawsze był w postaci Bożej i nie trzymał się uparcie tego, aby być równym Bogu,
7. Ale wyrzekł się tego wszystkiego przyjmując postać niewolnika, stając się podobny do ludzi i jako człowiek dając się poznać.
8. Upokorzył się i okazał posłuszeństwo aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej.
9. Dlatego Bóg wywyższył Go i dał Mu imię większe niż jakiekolwiek imię,
10. Aby na imię Jezusa zginało się każde kolano w niebie, na ziemi i pod ziemią,
11. I aby we wszystkich językach wyznawano, że Jezus Chrystus jest Panem, na chwałę Bogu Ojcu.

DLA NIETEOLOGÓW

Trójca Święta

Bóg objawia się w Ewangelii — w swym Słowie — jako Ojciec, Syn i Duch Święty, to znaczy jako Pan, który ludzi stworzył, który ich wyzwala i, wreszcie, ich odkupuje. Taka jest nauka o Trójcy, którą Katechizm (Heidelberski) wyjaśnia.
Nauka ta nie jest ani wymysłem Kościoła, ani odkryciem teologów, ani ludzką teorią »wytłumaczenia« Boga. Gdyby tak było, zasługiwałaby na zarzuty wysuwane przeciw niej w ciągu wieków po Reformacji, że jest niejasna i że przez nią doszło do rozłamów w Kościele. Nie, nauka o Trójcy tkwi korzeniami w objawieniu, jest biblijna. Nie możemy zajmować się teologią ewangelicką nie mówiąc o Bogu w sposób, w jaki On sam mówi o sobie. Musimy pozbyć się wszelkich nieuzasadnionych uprzedzeń antytrynitarnych, które powstały w naszych umysłach przez wieki panowania teologii liberalnej, racjonalizmu i humanizmu.

Nieprzejednanego stanowiska Kalwina wobec Serweta nie można tłumaczyć jego autorytatywnym charakterem lub zgryźliwym usposobieniem. Byłoby to zbytnie uproszczenie sprawy. Kalwin nie marzył o triumfie swych osobistych poglądów, ani też nie chciał sycić się zemstą nad swym przeciwnikiem, lecz był przekonany, że zaprzeczać Trójcy — znaczy przeczyć sa-

mej Ewangelii. Jest prawdą, że bez wiary w Boga — jako Ojca, Syna i Ducha Świętego — nie można mówić o chrześcijaństwie. Surowość wyroku wydanego na Serweta świadczyła o niebezpieczeństwie, jakie przypisywano głoszonej przez niego herezji.

Podkreślmy z drugiej strony, że wiele trudności wokół nauki o Trójcy stworzyła sama teologia, która i w tej sprawie zabłąkała się na bezdrożach filozofii. W minionym stuleciu, na przykład, zakładano istnienie Boga — Ducha wyższego, wiecznego i wszechmocnego. Później zaś chciano dowieść, że jest on identyczny z Bogiem objawienia. Nie można jednak było przyznać, że ów, wymyślony przez ludzki umysł, Bóg mógł być jedyny w trójcy. Trzeba więc było odrzucić naukę o Trójcy, jako sprzeczną z rozumem. Jeśli Bóg jest wiecznym Duchem (czystym Rozumem) i gwarantem porządku moralnego (Rozumem praktycznym), to oczywiście nie ma tu miejsca ani dla Syna, ani dla Ducha Świętego. Syn nie może mieć „tej samej substancji", co Ojciec. Teologia racjonalistyczna i moralizm uznają Jezusa tylko za człowieka. Jeśli zaś chodzi o Ducha Świętego, to rzecz znamienna, że albo się o Nim wcale nie mówi, albo traktuje się Go jako przejaw wiecznego Ducha wśród ludzi, którzy wchodzą z Nim w związek przez własnego ducha.

Wskutek nieścisłości terminologicznej pojawiła się jeszcze inna trudność. Mówiono wraz z reformatorami (a Katechizm Heidelberski to powtarza) o trzech osobach Trójcy, co stwarzało niebezpieczeństwo takiego »rozdzielenia« Boga, że w rezultacie — nawet mimo definicji — mogło powstać trzech bogów (Kalwin mówił: trzy bałwany).

Współczesna teologia przywróciła znaczenie nauce o Trójcy. Mówi ona, że Bóg objawia się w działaniu, o którym świadczy Pismo: On stwarza człowieka, wyzwala go i daje mu poznać zbawienie. To jest Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty, Pan, jedyny Bóg, o którym może mówić teologia chrześcijańska.

Zaproponowano także, aby nie mówić o trzech „osobach" Trójcy, lecz o trzech sposobach istnienia Boga. Bóg istnieje, objawia się i daje się poznać trzema różnymi sposobami, lecz zawsze jest to ten sam Bóg. W Jezusie Chrystusie Bóg objawia się jako Ojciec, a to objawienie staje się dla człowieka skuteczne przez Ducha Świętego.

Wszystko, co człowiek może wiedzieć o Bogu, pochodzi od Jezusa Chrystusa. Również, aby przyjąć naukę o Trójcy jako wyraz „jedynego, prawdziwego i wiecznego Boga" — musi człowiek być najpierw wyzwolony przez Jezusa Chrystusa.

Człowiek wyzwolony przez Jezusa Chrystusa wie przez Ducha Świętego, że należy już do królestwa, którego Panem jest Bóg. Do przymierza łaski wprowadza go Bóg, który w Jezusie Chrystusie objawia mu się jako jego Ojciec. Duch Święty potwierdza, że dzieło Boga, Stwórcy i Zbawcy, jest przeznaczone dla niego.

Bóg w Trójcy jest dokładnie taki, jakim daje się poznać. Inaczej nie da się w ogóle Boga opisać. Przez te trzy sposoby istnienia, odpowiadające trzem zasadniczym dziełom Boga (Stwórca, Wybawca i Odkupiciel) — daje nam On jedyną ludzką możliwość mówienia o Nim.

Ponadto Bóg w Trójcy jest całkowicie taki, jakim daje się poznać. Nie ukrywa niczego, co ludzie mogą pojąć. W sposób w pełni zadowalający odpowiada na pytanie o istnienie Boga. Jest On Ojcem Jezusa Chrystusa i naszym Ojcem. Duch Święty jest Jego Duchem i Duchem Jezusa Chrystusa. O Bogu nie możemy powiedzieć ani nic innego, ani nic więcej.

Wreszcie, Bóg w Trójcy jest definitywnie taki, jakim daje się poznać. Nie czekamy na objawienie inne, pełniejsze, dostępniejsze, bardziej zgodne z ludzką umysłowością. Bóg nie powtórzy już tego, co uczynił w Jezusie Chrystusie, a Duch Święty, który daje nam poznać to dzieło, nie mówi dzisiaj inaczej niż niegdyś.

Zanotujmy następujące punkty:

1) Katechizm Heidelberski mówi o Bogu Ojcu jako Stwórcy, o Bogu Synu — jako o Odkupicielu, i o Bogu Duchu Świętym — jako o Uświęcicielu. Karol Barth i większość dzisiejszych teologów uważa Go za Boga Stwórcę, Boga Zbawcę i Boga Odkupiciela. Dzieło odkupienia, które według teologii tradycyjnej przysługiwało Jezusowi Chrystusowi, teologia współczesna przypisuje Duchowi Świętemu. W ten sposób pragnie ona uniknąć odrywania Ducha Świętego (od pozostałych form istnienia Boga — red.), bowiem i dawniej, i jeszcze dzisiaj uważa się Go często na rodzaj „outsidera", który działa jak samotny rycerz. Przypisywane Mu dzieło uświęcenia nie oznacza niczego konkretnego. Taka jest tendencja ruchów zielonoświątkowych, które kładą nacisk niemal wyłącznie na Ducha Świętego i, w rezultacie, robią zeń jakąś samodzielną potęgę, działającą wprost i bezpośrednio na człowieka. „Chrzest Ducha Świętego", którym się chlubią niektórzy chrześcijanie, różni się od prawdziwego chrztu oznaczającego śmierć i zmartwychwstanie z Chrystusem (Rzym. 6); jest to rodzaj jakiejś intronizacji w chwale, przy której krzyż Jezusa Chrystusa staje się czymś zbytecznym. Człowiek jednak trwa w swej rzeczywistej nędzy, więc dary Ducha Świętego są w każdej chwili narażone na skażenie przez ludzką naturę.

Przypisując Duchowi Świętemu rolę Odkupiciela, teologia współczesna podkreśla fakt, że Jego dzieło nie różni się od Jezusowego. Duch Święty aktualizuje dzieło Jezusa Chrystusa sprawiając, że człowiek może przyjąć to dobrodziejstwo i w ten sposób naprawdę zyskać odkupienie.

2) Kościół Wschodu, prawosławny rosyjski i grecki, oddzielił się od Kościoła Zachodu w XI w., ponieważ nie chciał uznać, że Duch Święty „pochodzi od Ojca i Syna", według formuły nicejskiego Wyznania Wiary. Domagał się on więc wewnętrznego rozdziału Boga w Trójcy i występował przeciwko koncepcji Boga objawionego w Piśmie.

3) Przypomnijmy wreszcie bezdroża, na jakie schodzi teologia, jeśli pomija któryś z trzech sposobów istnienia Boga. Ci, którzy nie uznają Boga Ojca, Boga Stwórcy, popadają w panteizm,

według którego Bóg jest wszędzie rozproszony w stworzeniu. Ci, którzy nie uznają Syna, popadają w deizm, według którego Bóg pozostawia stworzony przez siebie świat własnemu losowi (taka była koncepcja Woltera, przedstawiającego Boga jako Wielkiego Zegarmistrza, który nie troszczy się o to, jak jego zegar chodzi). Ci, którzy nie uznają Ducha Świętego, kończą na przyjęciu wiary czysto filozoficznej lub też popadają w metafizykę, w której Bóg i Jego dzieło stają się jedynie przedmiotem spekulacji pozbawionym zbawczej mocy.

Zapamiętajmy więc, że jedynie nauka o Trójcy może naprawdę przedstawić Boga takim, jakim On jest, jakim się objawia i w jakiego człowiek powinien wierzyć, aby być zbawionym.

KINGA STRZELECKA

Max Thurian

Max Thurian urodził się 14 sierpnia 1921 r. w Genewie. Tam też studiował teologię w latach 1941—45 i otrzymał ordynację pastorską. Jest pierwszym towarzyszem Rogera Schutza w założonej przezeń właśnie w latach czterdziestych — ekumenicznej protestanckiej wspólnocie w Taizé. Odtąd ich życie potoczyło się razem; ich nazwiska najczęściej łącznie bywają wymieniane. Obaj byli obserwatorami na II Soborze Watykańskim, gdzie już na pierwszy rzut oka wyróżniali się białymi habitami wśród czarno ubranych pastorów różnych wyznań. Wspólnie opublikowali swoje refleksje w dwukrotnie wydanej książce pt. *Żywe słowo na soborze.* Jako teolog Max Thurian, rzecz jasna, pisze i wydaje samodzielne prace, które w ciągu niespełna dwudziestu lat osiągnęły liczbę kilkunastu pozycji książkowych, nie licząc artykułów publikowanych w czasopismach i dziełach zbiorowych. Właśnie o twórczości Maxa Thuriana chcemy tutaj mówić, ilustrując ją paroma przykładami.

Genewa i Taizé, o których wspomnieliśmy wyżej, tłumaczą, dlaczego tak, a nie inaczej kształtują się zainteresowania i rozwiązania teologiczne brata Maxa: on wtapia je w duchowy nurt Reformacji i daje im solidną podbudowę biblijną; równocześnie konfrontuje swe badania z myślą Kościoła Powszechnego. Charakterystyczną cechą jego prac jest, właściwa wszystkim poczynaniom taizeńczyków, prowizoryczność. Thurian nie ujmuje swych koncepcji w żaden zwarty system. Przeciwnie, zakłada pewną elastyczność myślenia, aby móc wprowadzać korekty w miarę dojrzewania problemów i odnajdywania nowych rozwiązań. Na warsztat badań bierze newralgiczne, kontrowersyjne punkty nauki chrześcijańskiej. Odważnie i bez prekoncepcji szuka uzasadnień biblijnych, niekiedy wbrew utartym schematom i opiniom. Przykładami niech będą: *Małżeństwo i celibat* — praca wydana po raz pierwszy w Neuchâtel, w 1955 r., *Maria, Matka Pana, Figura Kościoła* — książka, która osiągnęła w sumie pięć wydań, oraz *Kapłaństwo i urząd pastora* — pozycja ostatnia, będąca nową wersją zdezaktualizowanego studium *Jeden Chleb,* i wydana w Taizé, w 1971 r.

Główną treść *Małżeństwa i celibatu* poprzedzają: wstęp napisany przez Rogera Schutza, fragment „Reguły Taizé" oraz wyjątek ekshortacji skierowanej do zakonnika składającego śluby. Wyjątek ten brzmi jak następuje: *„Bracie... pamiętaj, że Chrystus Pan... angażując się wraz z tobą, dla ciebie spełnia obietnicę: zaprawdę nie ma nikogo, kto by opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo matkę, albo ojca, albo pole dla mnie i dla Ewangelii, a nie otrzymał stokroć więcej w tym czasie... a w przyszłości życia wiecznego. Jest to droga sprzeczna z wszelkim ludzkim rozumowaniem; możesz nią iść, jak Abraham, jedynie przez wiarę, nie w widzeniu, będąc zawsze pewnym, że kto stracił życie dla Chrystusa, odnajdzie je".*

Zagadnienie celibatu brat Max Thurian omawia równolegle z zagadnieniem małżeństwa, sądząc, że stanowią one dwa niezbędne i nawzajem uzupełniające się elementy paraboli Królestwa Niebieskiego, którą Kościół odgrywa w świecie. Celibat zwiastuje, że w Królestwie Bożym „nie żenią się i nie wychodzą za mąż", ponieważ istnieje tam miłość absolutna, większa niż miłość małżeńska. To samo Królestwo jednak ilustruje apokaliptyczny obraz weselnej uczty niebieskiego Jeruzalem *„jako oblubienicy przystrojonej dla swego Oblubieńca".* Dlatego dopiero w dialektyce dwóch możliwości — powołania do małżeństwa i powołania do celibatu — Kościół ukazuje oba aspekty, a więc pełnię prawdy o Królestwie Bożym. *Novum* nowotestamentowego małżeństwa jest — zdaniem Thuriana — nierozerwalna jedność, skonkretyzowana w totalnej miłości, obejmującej wszystkie płaszczyzny ludzkiej istoty. „Tajemnica to wielka", odnosząca się zarówno do jedności mężczyzny i kobiety, jak do Chrystusa i Kościoła. Małżeństwo w Kościele nabrało nowych wymiarów, ale równocześnie — jako przedmiot wyboru — stało się jedną z dwu możliwych dróg otwierających się przed człowiekiem. Małżeństwo przestało być przymusowe, celibat zaś stracił cechę wstydu i udręki. Co więcej — uzyskał specyficzne znaczenie, ponieważ sam Chrystus obrał go dla siebie, nie znając poza Kościołem — pisze Thurian — *„innej miłości, innej oblubienicy, innej małżonki".* Celibat stał się przez to symbolem rzeczywistości eschatologicznej oraz (podobnie jak nowotestamentowe małżeństwo) *„powołaniem, darem i łaską".* A ponieważ dary Boże są nieodwracalne — domagają się od człowieka definitywnego zaangażowania zarówno w małżeństwie, jak w celibacie.

Tak oto, w największym skrócie, przedstawiają się zasadnicze myśli brata Maxa, poparte w jego pracy szeregiem wywodów teologiczno-biblijnych i cytatami Kalwina, który akceptował chrześcijański celibat, dostrzegając jego specyficzne walory.

Obszerny materiał biblijny, dotyczący *Marii, Matki Pana, Figury Kościoła,* Thurian zgrupował w dziesięciu rozdziałach, którym nadał wymowne tytuły-syntezy, np. *Córka Syjonu, Napełniona łaską* (słynne Łukaszowe *kecharitomene,* które w pozdrowieniu anioła zajmuje miejsce własnego imienia Marii, oznaczając jej uprzywilejowany udział w absolutnej pełni łaski, właściwej Chrystusowi), *Mieszkanie Boga, Matka Mesjasza-Króla, Matka cierpiącego Sługi* itp. Najbardziej charakterystyczny jest niewątpliwie rozdział o Matce Pana. Autor stwierdza, że to określenie zawiera identyczną treść co (nadana Marii przez Sobór Efeski) nazwa Matka Boga — *Theotokos* — która była niczym innym, jak *„odkryciem prawdziwego sensu Ewangelii, a zwłaszcza słów Elżbiety".* Na poparcie swej opinii Thurian cytuje wypowiedź kalwiń-

skiego pastora z XVII w., Karola Drelincourta: *„Nie mamy żadnej trudności, aby powiedzieć ze starożytnymi, że Dziewica Maria jest Matką Boga, ponieważ Ten, którego urodziła, jest Bogiem wszystkich rzeczy, błogosławionym na wieki"*. Aby zbulwersować nieco, jak sam to określa, zastygłą pod tym względem doktrynę Reformacji, Thurian przytacza entuzjastyczne teksty Lutra, w których Maria nazwana jest *„Panią nad niebem z ziemią"*, *„Matką Boga, wyniesioną ponad cały rodzaj ludzki"*. Autor sądzi dalej, że *„brak odwagi w rozpatrywaniu totalnej wartości macierzyństwa Marii — które nie było zjawiskiem czysto fizycznym, lecz zakładało psychiczny i duchowy stosunek macierzyństwa i synostwa — doprowadza do traktowania jej roli jako bezosobowego narzędzia, a przez to do minimalizowania samej rzeczywistości Wcielenia"*.

W końcowym paragrafie ostatniego rozdziału Max Thurian uzasadnia miejsce Marii w liturgii i kulcie, sądząc, że tylko dzięki nim mogą wypełnić się słowa proroctwa zawarte w Magnificat: *„Oto odtąd błogosławioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia"*. Obawa przed przesadą, która miała i ma miejsce w Kościele, nie może — zdaniem autora — powodować milczenia i nieobecności Marii w świadomości chrześcijańskiej, co *„w równej mierze byłoby niewiernością wobec Ewangelii i Chrystusa"*.

Kapłaństwo i urząd pastora. Punktem wyjścia podjętej tu problematyki jest kwestionowanie pewnych form istniejących do dzisiaj zarówno w praktyce protestanckiej, jak katolickiej. Autor sądzi, że owa kontestacja może przemienić się w dialog o ważkim znaczeniu ekumenicznym, może bowiem dać okazję do wspólnego przemyślenia i odnalezienia wspólnych podstaw przeciwstawnych dziś punktów doktryny. Do tych podstaw należy — zdaniem Thuriana — przede wszystkim głoszenie Słowa Bożego zawartego w Biblii i przeżywanego w żywej tradycji Kościoła. Może mieć ono różne, coraz to inne formy, może zezwalać, by ksiądz — wtopiony w życie innych ludzi — pracował jako robotnik czy profesor, byleby tylko nie przestał zwiastować Ewangelii. Ksiądz jest nadto „człowiekiem sakramentu i modlitwy" — mówi brat Max. Udzielając Eucharystii, prowokuje dziękczynienie Ludu Bożego i syci go ciałem Chrystusa. Ma obowiązek wstawiennictwa, w którym na sposób kapłański przedstawia Bogu potrzeby i troski tych, którzy zostali mu powierzeni. Wreszcie, posiada pochodzący od Boga autorytet, dzięki któremu służy wspólnocie, podtrzymując jej jedność w miłości. Autor przypomina, że Kalwin niejednokrotnie podkreślał sakramentalny charakter ordynacji pastorskiej, a nawet nie wahał się nazywać pastorów „prawdziwymi kapłanami i sługami Kościoła". Owo sakramentalne pojęcie ordynacji — stwierdza Thurian — zatarło się w tradycji reformowanej. Ale właśnie dziś, kiedy dzięki pogłębionym studiom biblijnym, patrystycznym i liturgicznym dialog protestantów z katolikami stał się rzeczą możliwą, możliwe też jest wspólne odnalezienie właściwego sensu katolickich „święceń" i protestanckiej „ordynacji", w których Thurian dostrzega zasadnicze podobieństwo i jedynie drugorzędne różnice.

Jak widać z przytoczonych wyżej koncepcji brata Maxa, jest on w swoich ekumenicznych dążeniach optymistą. Jego optymizm wypływa z przekonania, że odnajdują Prawdę objawioną ci, którzy szukają jej szczerze i bez uprzedzeń, ci, którym leży na sercu testament Jezusa, „aby byli jedno" w widzialnej jedności Kościoła, mającej być dla świata znakiem wiarogodności Słowa Bożego.

Nicky Cruz opowiada

Czytelnicy „Jednoty" mogli zapoznać się z postacią Dawida Wilkersona, o którego działalności pisaliśmy w nr 2/72. Jednym z jego największych sukcesów było nawrócenie przywódcy młodzieżowego gangu nowojorskiego, Nicky Cruza, który opowiedział historię swego życia i nawrócenia w książce pt. „Run Baby Run" (Biegaj, dzieciaku, biegaj). Jest to fascynująca opowieść o losach dziecka zostawionego samemu sobie, pozbawionego troski i ciepła w rodzinnym domu, potem — piętnastoletniego chłopca zagubionego wśród 8 milionów mieszkańców Nowego Jorku, niespokojnego wyrostka, biegnącego ku swemu przeznaczeniu, jakim było elektryczne krzesło. Spotkanie z Dawidem Wilkersonem odmieniło jego życie. Nie tylko rzucił rozbój, ale wstąpił do szkoły biblijnej i rozpoczął bardzo owocną pracę ewangelizacyjną wśród młodzieżowych gangów nowojorskich, wśród narkomanów i wszelkiego rodzaju mętów społecznych. Obecnie w Kalifornii prowadzi dom dla chłopców, którym grozi wykolejenie.

Sądzimy, że fragmenty wspomnień Nicky Cruza spotkają się z zainteresowaniem naszych Czytelników.

Portoryko to piękny kraj słońca i bosych dzieci. Mężczyźni chodzą tu bez koszul, kobiety leniwie snują się w promieniach słońca. Dzień i noc rozlega się dudnienie bębnów i brzdąkanie gitar. To kraj śpiewów, kwiatów, roześmianych dzieci, błękitnej, iskrzącej się światłem wody. Ale jest to też kraj czarów i zabobonów, przesądów religijnych i straszliwej ciemnoty. Nocami słychć, jak ciężko rozbrzmiewają po górach bębny czarowników, którzy w lasach palmowych odprawiają swoje gusła, składają ofiary, tańczą z wężami w migotliwych blaskach ogni. Moi rodzice byli spirytystami. Zarabiali na życie wypędzaniem demonów i wywoływaniem duchów. Ojciec był człowiekiem wzbudzającym strach. Wysoki dobrze ponad sześć stóp, z ogromnymi barami, lekko przygarbiony, zyskał sobie przydomek „Wielgus". W czasie II wojny światowej został ranny i otrzymał rentę inwalidzką. Rodzina jednak składała się z 17 chłopców i jednej dziewczynki, więc po wojnie, żeby zarobić na życie, zajął się spirytyzmem.

Mama pracowała z ojcem jako medium. W naszym domu mieściła się centrala wszelkich czarów, seansów i guseł. Setki ludzi schodziły się z całej wyspy, aby uczestniczyć w seansach i medytacyjnych posiedzeniach.

Od naszego wielkiego domu, położonego na szczycie wzgórza, wiła się w dół ścieżka aż do małej wioski Las Piedras, przytulonej cicho w

dolinie. Wieśniacy mogli o każdej porze dnia i nocy wspiąć się tą ścieżką do „domu czarownika", jeśli chcieli rozmawiać z duchami zmarłych osób, brać udział w czarach czy prosić mojego ojca o wypędzenie demona. Wiele różnych mediów schodziło się u nas, ale ojciec zawsze odgrywał główną rolę. Siedzieli nieraz całymi tygodniami, wywołując duchy i wypędzając demony.

We frontowym pokoju stał długi stół, wokół którego zasiadali ci, co pragnęli kontaktu z duchami zmarłych. Ojciec był świetnie w tej materii oczytany (w tej części wyspy nie było biblioteki równie bogato wyposażonej w książki o magii i czarach). Strach i niechęć do rodziców wypełniały mi wczesne dzieciństwo. W tak licznej rodzinie nie przejmowano się nadmiernie dziećmi, każde było zostawione samo sobie. Miałem o to żal do rodziców, a jednocześnie bałem się conocnych czarodziejskich praktyk.

Któregoś lata, zanim poszedłem do szkoły, ojciec przyłapał mnie na wyciąganiu pieniędzy z portmonetki mamy. Zacząłem uciekać, ale chwycił mnie za kark:

— Nie uciekniesz, dzieciaku. Teraz zapłacisz za kradzież!

— Nienawidzę ciebie! — wrzasnąłem.

Dźwignął mnie do góry i potrząsając, wycedził przez zęby:

— Ja cię nauczę tak się odzywać do ojca!

Wziął mnie pod pachę jak tłumok i wielkimi krokami skierował się przez ciemne podwórze do gołębnika. Słyszałem jak grzebał przy zamku.

— Właź! — warknął. — Będziesz siedział z ptakami, dopóki nie nabierzesz rozumu.

Wepchnął mnie i zatrzasnął drzwi, zostawiając w zupełnych ciemnościach. Usłyszałem szczęk zamka i jeszcze raz głos ojca:

— Nie dostaniesz kolacji.

Kroki powoli oddaliły się i ucichły w domu. Byłem oszalały ze strachu. Waliłem pięściami i kopałem w drzwi, krzycząc i wrzeszcząc do ochrypnięcia. Nagle w budzie rozległ się dziki łopot skrzydeł, przerażone ptaki zerwały się i w locie obijały się o mnie. Zakryłem twarz rękami i zacząłem histerycznie wrzeszczeć, a ptaki to wpadały na ściany, to znów na mnie i dziobały mnie po twarzy i szyi jak szalone. Rzuciłem się na zapaskudzoną podłogę, schowałem głowę w ramiona, starając się chronić oczy i jak najmniej słyszeć straszliwy trzepot skrzydeł nade mną.

Zdawało się, że cała wieczność minęła, zanim drzwi się otworzyły i ojciec jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi i wywlókł na podwórze.

— Teraz będziesz pamiętał, żeby nie kraść i nie odszczekiwać — powiedział szorstko. — Umyj się i marsz do łóżka.

Tej nocy płakałem przez sen; śniło mi się, że dookoła latają ptaki i ciągle się o mnie obijają.

Moja niechęć do rodziców nie minęła z pójściem do szkoły. Nienawidziłem wszelkiego autorytetu. Kiedy skończyłem osiem lat, całkiem odwróciłem się od rodziców. Było gorące, letnie południe, mama z kilkoma innymi mediami siedziała przy wielkim stole we frontowym pokoju i popijała kawę. Zmęczony zabawą z bratem wszedłem do pokoju, kozłując piłką o podłogę. Jedna z kobiet powiedziała do mamy:

— Ładny chłopak z twojego Nicky. Całkiem do ciebie podobny. Musisz być dumna z niego.

Mama twardo na mnie spojrzała i zaczęła się kiwać w swoim fotelu to w przód, to w tył. Głowę odrzuciła do tyłu, a spod półprzymkniętych powiek ukazały się białka wywróconych oczu. Ręce wyciągnęła przed siebie i oparła o brzeg stołu. Palce jej zesztywniały i zaczęły drżeć, gdy powoli wznosiła ręce nad głowę; z gardła wydobywały się jej monotonne słowa:

— To... nie... moje... dziecko. Nie, nie Nicky. Nigdy nie był mój. To dziecko największego diabła. Lucypera. Nie, nie mój... nie, nie mój. Syn Szatana, diabelskie dziecko.

Piłka wypadła mi z ręki i potoczyła się po podłodze. Powoli cofałem się pod ścianę, a mama dalej w transie mówiła; głos jej śpiewnie to wznosił się, to opadał:

— Nie, nie mój, nie mój... Ręka Lucypera nad jego życiem... palec Szatana go naznaczył... palec Szatana na jego duszy... znamię bestii na jego sercu... Nie, nie mój... nie, nie mój.

Patrzyłem jak łzy spływały jej po policzkach. Nagle obróciła na mnie szeroko otwarte oczy i wrzasnęła ostrym głosem:

— Wynoś się, DIABLE! Wynoś się ode mnie! Idź ode mnie, DIABLE! Precz! Precz! Precz!

Zdrętwiałem ze strachu. Biegiem puściłem się do mojego pokoju i rzuciłem na łóżko. Oszalałe myśli kłębiły mi się w głowie, jak szumiący potok, spadający z wysokości na dno doliny. Nie jej dziecko... dziecko Szatana... nie kocha mnie... Nikt nie dba. Nikt nie dba. Łzy popłynęły mi z oczu, zacząłem zanosić się od płaczu. Ból w gardle stał się nieznośny. Waliłem pięściami w łóżko aż do zupełnego wyczerpania. Fala dawnej nienawiści wzbierała we mnie. Nagle zalała moją duszę jak przypływ rafę koralową. Nienawidziłem mojej matki. Boże, jak jej nienawidziłem! Zadałbym jej ból, torturowałbym ją, żeby się zemścić. Rzuciłem się do drzwi, płacząc wpadłem do frontowego pokoju. Całe towarzystwo było tam jeszcze razem z mamą. Wpiłem się palcami w brzeg stołu, wstrząsany nienawiścią ledwo mogłem wyjąkać poszczególne słowa:

— Jjja... nnnienawidzę ciebie!

Podniosłem palec na mamę i wołałem:

— Tty... mi za to zapłacisz! Ty mi za to zapłacisz!

Obróciłem się na miejscu, rzuciłem do drzwi, w których stali moi dwaj młodsi bracia, ciekawie przyglądający się tej scenie. Roztrąciłem ich gwałtownie, zbiegłem po schodach, zawróciłem i wczołgałem się pod ganek, gdzie już dawniej często znajdowałem chłodną i mroczną kryjówkę. Usiadłem skulony w kłębach kurzu i śmieci, które tam się od lat nagromadziły. Z góry dochodził mnie śmiech kobiet, nad którymi górował głos mojej matki:

— No i mówiłam! Czy to nie szatańskie dziecko?

Jakże jej nienawidziłem! Żebym mógł, to bym ją udusił. Zacząłem z rozpaczy płakać i walić pięściami w ziemię. Ciałem moim wstrząsnęło konwulsyjne łkanie.

— Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! — krzyczałem. Nikt tego nie słyszał, nikogo to nie obchodziło. Zacząłem z wściekłości drapać palcami ziemię, chwytać ją całymi garściami i rzucać na wszystkie strony. Powietrze wypełniło się tumanami suchego pyłu, który osiadał mi na twarzy, a spływające łzy tworzyły błotniste strumyki wzdłuż policzków.

W końcu szał minął. Siedząc słyszałem, jak inne dzieci bawiły się na podwórzu. Jeden z chłopców śpiewał piosenkę o ptakach i motylach. A ja czułem się samotny i opuszczony, płonąłem nienawiścią z powodu doznanej krzywdy, dygotałem ze strachu. Z podwórza dobiegł trzask zamykanych drzwi gołębnika i zaraz potem ciężkie kroki ojca, gdy zbliżał się zza rogu domu .Wszedł na pierwsze stopnie i zatrzymał się, spoglądając na mnie przez szpary.

— A co ty tam, chłopcze, robisz?

Nie odezwałem się, mając nadzieję, że mnie nie pozna. Wzruszył ramionami, poszedł dalej i trzasnął za sobą drzwiami.

— Nikogo nie obchodzę — pomyślałem sobie.

Z domu słychać było nową salwę śmiechu kobiet, którym ojciec basem wtórował. Wiedziałem, że śmieją się ze mnie. Znowu zalała mnie fala nienawiści. Jeszcze raz się rozpłakałem, łzy popłynęły mi po twarzy.

— Nienawidzę cię, mamo! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! — głos mój odbijał się echem od ścian mojej kryjówki. W stanie szczytowego napięcia emocjonalnego padłem plecami na ziemię i zacząłem z furią tarzać się w pyle i kurzu. Wyczerpany, zamknąłem oczy i płakałem, a w końcu zapadłem w niespokojny sen.

Słońce już zanurzyło się w morzu na zachodzie, gdy obudziłem się i wypełznąłem spod ganku. W zębach zgrzytał mi piasek, całe ciało miałem pokryte grubą skorupą zaschniętego błota. Żaby rechotały, ćwierkały świerszcze, gołymi stopami wyczuwałem wilgoć i chłód świeżo spadłej rosy.

Drzwi ganku otworzyły się gwałtownie, strumień jasnego światła padł na mnie, gdy stałem przed schodami.

— Świnia! — rozległ się głos ojca — co ty robiłeś tak długo? Popatrz tylko na siebie. Świń tu nie trzeba. Umyj się i chodź na kolację.

Posłuchałem. Ale kiedy się myłem pod pompą, pomyślałem, że będę już zawsze pełen nienawiści. Już nigdy nie będę kochał... nikogo. I nigdy więcej nie będę płakał. Nigdy. Strach, brud i nienawiść w szatańskim dziecku. Zaczęło się.

Tłum. B.T.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,

Omówienie pożytecznego zarysu „Teologii protestanckiej XX wieku" Karola Karskiego w nr 1 „Jedności" wymaga jeszcze kilku uwag krytycznych. Niczym nie da się usprawiedliwić całkowitego pominięcia Rudolfa Otto (1869—1937), czołowego porównawczego psychologa religii, i jego szkoły. Słusznie wyznaczył mu Fr. Heiler przodujące miejsce wśród kilku naprawdę uniwersalnych duchów między nowoczesnymi teologami protestanckimi. Główne dzieło R. Otto: „Świętość". Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych" doczekało się w oryginale 36 wydań i przekładów na 8 języków, m. in. i na polski (1968). Książka ta, zawierająca syntezę poglądów autora, zyskała rozgłos międzynarodowy. Poświęcił jej też, słusznie, i jej autorowi cały rozdział w studium „Sto lat nauki o religiach świata" — dr hab. T. Margul. Z inicjatywy R. Otto powstał w 1921 r. „Religiöser Menschheitsbund" pod aktualnym obecnie hasłem uniwersalizmu ogarniającego wszystkie narodowości i wszystkie religie. Pominięcie postaci tej miary dziwi nie mniej niż brak u Karskiego nazwiska Natana Soederbloma, twórcy szwedzkiej szkoły religioznawczej i patrona ruchu ekumenicznego.

Książeczka, choćby popularna, o teologii protestanckiej XX w. powinna się liczyć przede wszystkim z katolickim czytelnikiem i lepiej wyjaśnić we wstępie rolę ognisk naukowych, jakimi stały się od końca XVIII w. ewangelickie fakultety teologiczne w porównaniu z katolickimi na uniwersytetach państwowych. Warto było przytoczyć miarodajne zdania H. Mulerta: „Protestancka teologia jest wolną teologią, skrępowana teologia przestaje być protestancką. Teologia jest dla protestantyzmu ochroną przed niebezpieczeństwem katolicyzowania, zawsze istniejącym w kościele". Warunkiem jest tu jednak niezależność od kontroli i cenzury władz kościelnych, wykluczona dla katolickich teologów. Dziś, swoją drogą, teologia w większej niż pół wieku temu mierze staje się służebnicą Kościołów. Jej dawny liberalizm został w wielu wypadkach zastąpiony fundamentalizmem. Gdy mowa o wydziałach teologicznych i ich stosunku do Kościołów, można było wspomnieć o sytuacji, jaka pod tym względem istniała na Uniwersytecie Warszawskim przed 1954 r.

Może w drugim wydaniu książeczki Karskiego dałoby się usunąć jej braki.

Czesław Lechicki

Zdaje się, że list C. Lechickiego mniej dotyczy książki K. Karskiego, a bardziej recenzji zamieszczonej w „Jednocie". Recenzja zaś była w sumie pozytywna, choć nie słodka ani laurkowata. Zgadzam się, że można by autorowi „dołożyć" jeszcze więcej zarzutów, ale teraz już po co? Sam mam taką nie wykorzystaną, prywatną listę zarzutów pod adresem książki. Choć więc ze mnie taki krytykant, to z C. Lechickim zgodzić się nie mogę i stoję murem za autorem książki. C. Lechicki pisze, ze „niczym nie uda się usprawiedliwić całkowitego pominięcia Rudolfa Otto i jego szkoły". Uważam, że autora bardzo łatwo usprawiedliwić: jego książka jest o teologii, a nie o religioznawstwie protestanckim. Cieszę się, że tak trafnie w niej pominięto religioznawców i ich czołowego przedstawiciela — R. Otto. Religioznawstwo ma się bowiem tak do teologii, jak... (tutaj każdy może wstawić porównanie wedle własnego gustu lub usposobienia). Istotnie szkoda, że K. Karski pominął niektórych wartościowych teologów, ale powtarzać się nie ma potrzeby. Pragnę wtórować C. Lechickiemu w życzeniu autorowi książki jej drugiego wydania, w którym na pewno wiele zostanie zmienione. Książka Karskiego jest na pewno książką potrzebną.

M. Kw.

WIELKANOC MŁODZIEŻY — ZELÓW 1972

W okresie Świąt Wielkiejnocy, tj. 2 i 3 kwietnia br., odbyło się w Zelowie spotkanie młodzieży naszego Kościoła. Wzięli w nim udział młodzi przedstawiciele prawie wszystkich ośrodków reformowanych w Polsce. Obecni byli — jako goście — delegaci Kościoła augsbruskiego i Kościoła baptystów. Spotkanie otrzymało nazwę „Wielkanoc Młodzieży". Jego celem było wzajemne poznanie się młodzieży z różnych ośrodków oraz przedyskutowanie szeregu spraw interesujących młodych. Realizacji tych celów służył bogaty i urozmaicony program spotkania. Składały się nań: nabożeństwa (z aktywnym współuczestnictwem młodzieży), spotkania dyskusyjne, prelekcje, wspólne modlitwy, nauka pieśni i rozrywka.

Pierwszego tematu do dyskusji dostarczył referat J. Jersaka z Zelowa na temat „Rewolucji Jezusowej". Tą nazwą określa się ruch młodzieży amerykańskiego marginesu i hippiesów. Polega on na tym, że młodzi ludzie — zafascynowani Biblią i postacią Jezusa — zrywają ze swym dotychczasowym trybem życia, stając się aktywnymi misjonarzami w środowisku, które opuścili. Po referacie wywiązała się dyskusja. W zasadzie akceptowano samą ideę tego ruchu, zwłaszcza kiedy ks. Z. Tranda przedstawił wiele interesujących wypowiedzi młodych ludzi, byłych gangsterów lub narkomanów, którzy stali się całkiem nowymi ludźmi, szermierzami idei Jezusa. Szereg głosów wyrażało jednak obawy, czy „Rewolucja Jezusowa" nie jest jedynie przejściową modą, taką, jaką swego czasu była moda na długie włosy.

Tego dnia wieczorem, wzorem podobnych uroczystości w swoim zborze, młodzież warszawska zorganizowała Wielkanocną Wieczerzę, połączoną z dzieleniem się jajkiem, modlitwą, rozważaniem Słowa Bożego i pieśniami. Niezatarte wrażenie wywarł na wszystkich uczestnikach specyficzny nastrój wieczoru, atmosfera serdeczności i zespolenia. Przy okazji tego spotkania uczono się nowych, pięknych pieśni młodzieży chrześcijańskiej.

Punktem ciężkości drugiego spotkania, tzn. drugiego dnia Świąt, stała się dyskusja w grupach na temat „Moja postawa, jako chrześcijanina, wobec problemów współczesności". Tak postawiony temat byłby jednak zbyt obszerny. Dokonano zatem konkretyzacji, ograniczając problemy współczesności do kilku szczególnie groźnych, a to: alkoholizmu, rozwiązłości obyczajów, używania narkotyków, obojętności, problemów rodziny, etyki ruchu drogowego. Sprawy te w coraz większym stopniu nękają społeczeństwo polskie, a walka z nimi jest wyjątkowo trudna.

Wprowadzeniem do dyskusji było wystąpienie ks. Z. Trandy, który podał liczby zaczerpnięte z prasy krajowej, a świadczące o wzroście wszelkich form deprawacji i przestępczości, połączonym z obniżaniem się wieku przestępców. Uczestnicy dyskusji wyrazili obawy w związku z taką sytuacją, przytaczając ponadto z własnych obserwacji lub przeżyć wiele przykładów tych negatywnych zjawisk. Wyrażono opinię, czy wobec tak szybkiego wzrostu objawów deprawacji istnieje realna możliwość, aby mała liczebnie społeczność ewangelicka potrafiła się z nimi uporać. W jednej z grup dyskusja toczyła się wokół problemów rodziny i wysunięto tam skrajną tezę o przestarzałym charakterze instytucji małżeńskiej w jej obecnej formie. Spotkała się ona ze zdecydowaną krytyką ze strony reszty uczestników. Uznano, że podobna opinia powstać mogła na skutek obserwacji wycinkowej, a więc niemiarodajnej. Podczas podsumowywania dyskusji stwierdzono, że działalność młodych chrześcijan musi polegać głównie na dawaniu przykładu swym postępowaniem. Istotne też musi być oddziaływanie przez Słowo Boże. Takie oddziaływanie przynosić będzie efekty, kiedy młodzi ludzie występujący z nim, będą posiadać głęboką wiarę. Ks. Z. Tranda podawał przykłady skuteczności takiego oddziaływania, gdy przynosiło ono pomoc ludziom w takich wypadkach, kiedy zawiodła już medycyna.

Ramami drugiego dnia spotkania były nabożeństwa poranne i wieczorne, w czasie których kazania wygłosił Ks. Z. Tranda. Wielkie wrażenie wywarło poranne przemówienie księdza, oparte na tekście zaczerpniętym z Dz. Ap. 4:19: „Czy słuszna to rzecz, w obliczu Boga raczej was słuchać aniżeli Boga". Kazanie poprzedziło wystąpienie Romana Lipińskiego, który za motto wziął tekst Mat. 18:19—20 i starał się podkreślić, że niezwykle istotne znaczenie ma myśl zawarta w pierwszej części tego fragmentu (wiersz 19), mówiąca o konieczności jedności i zgodności we wszelkim poczynaniu.

Kazanie wieczorne miało charakter podsumowujący dwudniowe spotkanie. Ks. Z. Tranda był wyrazicielem opinii wszystkich uczestników, kiedy stwierdził, że „Wielkanoc Młodzieży" była ważnym wydarzeniem w życiu reformowanej społeczności ewangelickiej w ogóle, a jej młodzieży w szczególności.

Kończąc tę krótką relację z pobytu w Zelowie, należy podkreślić niezwykłą gościnność i serdeczność mieszkańców miasteczka, którzy użyczyli swych domów gościom na kwatery. Trzeba również pochwalić doskonałą organizację spotkania, dzięki której cały dzień wypełniony był pożytecznymi i interesującymi zajęciami. Szczególną zasługę w organizowaniu i sprawnym przebiegu dwudniowego spotkania miał ks. Z. Tranda, którego obecność, kazania, wystąpienia i rozmowy z poszczególnymi uczestnikami dostarczyły nieprzemijających przeżyć duchowych.

Wszyscy uczestnicy spotkania otrzymali pamiątkowe plakietki oraz pocztówki, na których zbierali swoje adresy i podpisy.

Paweł Kuciński

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko - Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, al. Świerczewskiego 76a (tel. 31-23-83). Prenumerata w kraju: roczna — 48 zł, półroczna — 24 zł, kwartalna — 12 zł, numer pojedynczy — 4 zł. Prenumerata zagraniczna dwukrotnie wyższa. Konto: PKO Warszawa, VIII OM, nr 153-14-920651. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.

Cena 4 zł

Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Al. Jerozolimskie 125. Nakład 1800. Obj. 2 ark. druk. Zam. 1239. A-74.